Romuald Wiśniewski

Sztandar Ludu nr 123, 1968 r.

Zajazd Nadwiślański

Kiedy będziecie przechodzić ulicą Hanki Sawickiej, proszę zwrócić uwagę na dom pod numerem 8. Fronton nie wyróżnia się niczym szczególnym. Lecz wystarczy wejść w bramę i zerknąć w głąb podwórza, a przekonamy się, że obiekt jest wielce oryginalny.

Dom przy ul. H. Sawickiej 8 składa się z czterech skrzydeł, tworzących zamknięty czworobok. Wokół podwórza, na wysokości I i II piętra biegną balkonowe galeryjki, z których wchodzi się do mieszkań. Galeryjki są drewniane, mają balustradę z misternie toczonymi poręczami, opierają się na żelaznych podpórkach wygiętych w esy-floresy. Przed kilku laty remontowano północne skrzydło budynku i wymieniono w nim ową ozdobną galerię na zwykłą, betonową, z prostymi poręczami. Obecnie zapowiadany jest remont pozostałych skrzydeł i zważywszy, że nasi budowlani często przy tym idą po linii najmniejszego oporu - można się spodziewać także wymiany resztek owej staroświecczyzny na żelbeton. Znikają resztki śladów po sławnym niegdyś zajeździe.

Na ulicy Świętoduskiej bowiem, noszącej dziś miano H. Sawickiej, od dawien dawna znajdowały się karczmy i zajazdy. Już 400 lat temu stała karczma na posesji pod obecnym numerem 8. A i teraz, gdy spytacie najstarszych lublinian, powiedzą, że jak sięgną pamięcią, mieścił się tam zajazd i hotel „Nadwiślański". Zajazd zlikwidowano dopiero w roku 1950, a hotel w 1953. Dla pełnej informacji warto dodać, że po sąsiedzku mieściły się dwa inne zajazdy (tyle, że bez noclegów dla ludzi) - mały pod numerem 6 i olbrzymi pod numerem 10.

Przed wojną właścicielkami „Nadwiślańskiego" były Julia Sulczyńska i Paulina Mikiewicz. Hotel miał 9 pokoi, łącznie mogło nocować 40 osób. Pozostałą część budynku zajmowali lokatorzy, przeważnie narodowości żydowskiej, rzemieślnicy, krawcy i kuśnierze, nastawieni na szycie gościom hotelowym. A goście rekrutowali się głównie z drobnych ziemian oraz z zamożnych i średniozamożnych chłopów z okolic Krzczonowa i Bychawy. Przy czym zamożniejsi spali w hotelu, natomiast biedniejsi stawiali tylko konie w stajni (wiadomo: Polak, jak musiał, odmawiał czegoś sobie, ale nie koniowi), a sami latem spali na wozach, zimą zaś w stajni. Stajnie, ulokowane na parterze skrzydeł bocznych i tylnego, mogły pomieścić 40 koni. Gdy czworonożnych gości przyprowadzono więcej, i one nocowały na podwórzu. Nie było to specjalnie kłopotliwe nawet w zimie, gdyż podwórko jest niewielkie i obudowane ze wszystkich stron, a zatem całkowicie osłonięte od wiatru. Wystarczyło przykryć szkapinę dobrą derką. O ile jednak ten brak przewiewu chronił konie przed przeziębieniem, o tyle stałych lokatorów zmuszał do wdychania silnie stężonych wyziewów amoniakalnych. Stajnie były też wielkim siedliskiem szczurów. Gryzonie stale dostawały się i do lokali mieszkalnych.

Swoją kartę miał zajazd w latach wojny. We wrześniu 1939 roku pękał w szwach, wypełniony wojskowymi i cywilami cofającymi się przed wojskami niemieckimi. Ta część miasta była silnie bombardowana. Mieszkańcy domu i goście hotelowi wykopali sobie schrony przeciwlotnicze na targowisku, znajdującym się po przeciwnej stronie ulicy (tu, gdzie dziś skwerek). Potem jednak ktoś wpadł na pomysł, by do tego celu użyć lochów pod zajazdem. A lochy są potężne, dwukondygnacjowe. W niższej kondygnacji znajduje się sala o wymiarach ok. 5x6 m. W niej urządzono schron. A że przychodziła tu kryć się przed nalotami żona ówczesnego komendanta Straży Pożarnej, strażacy doprowadzili do schronu światło elektryczne, ustawili w nim ławki i stoły.

Przez całą okupację w zajeździe liczba gości przewyższała ilość miejsc. Pociągi osobowe kursowały rzadko, komunikacji autobusowej nie było, więc ludzie podróżowali końmi. Niemcy nieraz nachodzili hotel w nocy i przeprowadzali rewizje wśród gości, a czasem i wśród stałych lokatorów. Zdarzały się wypadki, że aresztowali i zabierali ze sobą mieszkańców hotelu.

Gdy w hotelu brakowało miejsc podróżni nocowali u stałych lokatorów, którzy dorabiali sobie w ten sposób. Pani Janina Stolarow, z zawodu krawcowa, dziś już rencistka, mieszkająca w tym domu ponad 50 lat, wspomina, jak to nieraz zatrzymywali się u lokatorów prywatnych młodzi ludzie w krótkich kożuszkach, spodniach do konnej jazdy i butach z cholewami, od których z dala zalatywało powiązaniami z partyzantką. Zapewne mieli już rozeznanie, komu można zaufać przy wyborze miejsca na nocleg. Pewnej nocy, gdy gościła dwu takich, obudził ich hałas, krzyki w języku niemieckim i dobijanie się do sąsiednich drzwi. Uciekać nie było gdzie. Mężczyźni kazali swej gospodyni położyć się za piecem, po czym wyciągnęli automaty i jeden zajął miejsce za framugą drzwi, a drugi przy oknie. Niemcy doszli do drzwi p. Stolarów i nie dobijając się spytali: „A to co, strych?" (mieszkanie to (znajduje się na II piętrze o parę schodków wyżej niż sąsiednie). „Strych" - odpowiedziała pani Mikiewicz, współwłaścicielka hotelu. Gdy na Majdanku założono obóz koncentracyjny, Niemcy przysyłali więźniów pod eskortą po nawóz ze stajni, który służył potem do użyźniania ogrodów z warzywami dla esesmanów. Eskorta przeważnie była okresami ta sama i po pewnym czasie dawała się przekupywać. W stajniach i w mieszkaniu dozorcy Józefa Pikula rodziny i towarzysze broni kontaktowali się więc z więźniami, przekazywali drobne paczki i wiadomości. Zajmował się tym m.in. syn właścicielki hotelu, Józef Sulczyński, oficer rezerwy.

Niemcy często wpadali do hotelu wyłapując zeń dorosłych Żydów na roboty. Polacy mieszkający od frontu, widząc nadchodzących żandarmów, ostrzegali Żydów i ci albo uciekali przez okna tylnego skrzydła do ogrodów „Caritasu", albo też gromadzili się w skrytce urządzonej w mieszkaniu krawca Ringiela, do której drzwi były maskowane szafą. Żydów Niemcy wysiedlili w roku 1942. Rodzina Ringiela została wywieziona do Bełżca, tylko dwie jego córki znalazły się w szwalni na Zamku, gdzie zostały rozstrzelane w czasie masowego mordu w przeddzień wyzwolenia.

Dziś dom przy ul. H. Sawickiej jest zajmowany głównie na mieszkania. W dawnych pomieszczeniach stajennych na podwórzu ulokowały się zakłady rzemieślnicze. A od frontu znajduje się bar „Tatarski", lokal III kategorii, z wyszynkiem. Można przez tydzień nie myć się, nie

golić i nie zmieniać koszuli, wejść do tego baru, stanąć przy bufecie i nie zdejmując kapelusza wypić parę setek czystej pod dym z papierosa. Czysta egzotyka. Tylko lokatorzy domu jakoś nie chwalą jej sobie. Cóż...